

„Rekuu”

Elza na żelaznej drodze

Opowiem Wam historię mojej prababci **Elżbiety Trojan** z domu **Augustyńskiej**, która wraz ze swoim mężem, rodzicami i rodzeństwem została wywieziona na Syberię. Będzie to podróż do przeszłości, która zostawiła ogromny ślad w życiu młodej kobiety, ale i świadectwo dla pokoleń, że należy pamiętać o tym, co wydarzyło się w czasie II wojny światowej.

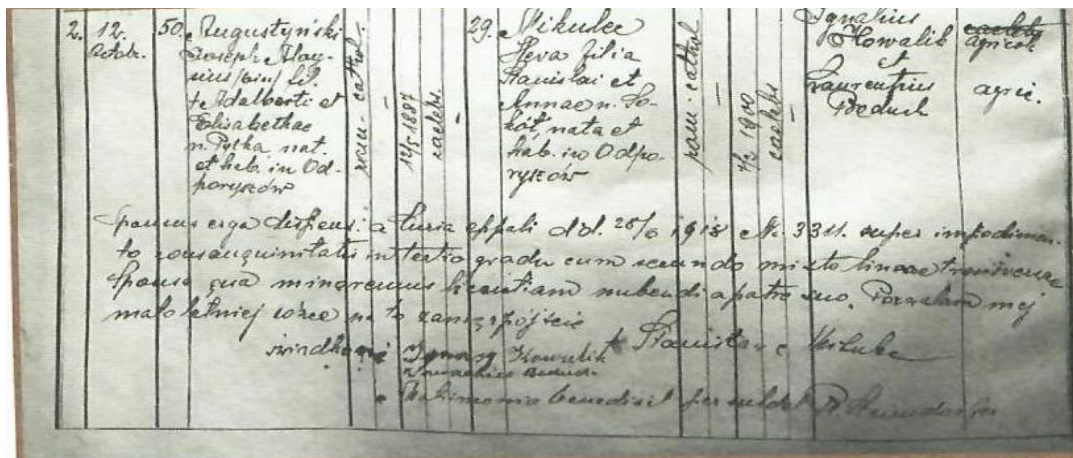
W latach dwudziestych, ojciec prababci - **Józef Augustyński** dostał 14 hektarów pięknej i urodzajnej ziemi we wsi Wierzblany koło Buska w województwie lwowskim. Tam osiedlili się, wybudowali dom mieszkalny. Zamieszkali w nim z całą rodziną, która w miarę upływu czasu była coraz większa.



Miejsce dawnego gospodarstwa Józefa Augustyńskiego we wsi Wierzblany - Kołonia
(obecnie Ukraina), styczeń 2019

Moja prababcia Elżbieta, nazywana przez wszystkich Elzą, urodziła się 9 kwietnia 1919 roku w Odporyszowie koło Tarnowa. Wywodziła się z rodziny wielodzietnej, miała dziesięcioro rodzeństwa i była z nich najstarsza. Pomagała swoim rodzicom w prowadzeniu domu, kiedy oni pracowali na gospodarstwie. Opiekowała się młodszym rodzeństwem,

przygotowywała dla nich posiłki, prała i cerowała ubrania. Do wybuchu wojny w 1939 roku żyło im się bardzo dobrze. Wojna położyła kres spokojnemu i beztrudnemu życiu.



Wpis do Księgi Małżeństw w kancelarii parafialnej w Odporyszowie

Pewnego dnia do wsi, w której mieszkali, wkroczyli bolszewicy. Sytuacja naszej rodziny, jak i innych rodzin, uległa zmianie i zaczęła przypominać siedzenie na dymiącym wulkanie. Zawsąd dochodziły budzące groź doniesienia o represjach NKWD, aresztowaniach i wywózkach całych rodzin na Sybir. W nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku moja prababcia Elza, która była wówczas w siódmym miesiącu ciąży, zaniepokojona pogłoskami o wywózkach, przyjechała ze swoim mężem, a moim pradziadkiem Józefem, do sąsiedniej wsi, gdzie mieszkali jej rodzice, aby zapewnić sobie bezpieczne schronienie. Nocami babcia wraz z rodzeństwem ukrywali się na polach, by uniknąć wywózki i przemocy ze strony najeźdźców. 12 lutego 1940r. wieczorem obudziły ich jednak gwałtowne łomotanie do drzwi i przeraźliwe krzyki. Do domu wtargnęli sowieccy żołnierze, którzy grożąc użyciem broni, wyznaczyli im 30 minut na zapakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Rodzina doznała szoku, nie wiedziała, co ma robić, od czego zacząć pakowanie. Żołnierze sami zaczęli zbierać i wynosić ich rzeczy do czekających przed domem sań. Przerażona babcia wraz z mamą błagały o litość nad małymi dziećmi, które mogłyby nie wytrzymać silnego mrozu. Płakały wszystkie maluszki, zrobiło się wielkie zamieszanie. Z każdą chwilą rodzinę ogarniała coraz większa bezradność, co na oprawcach nie robiło żadnego wrażenia. Ukraińscy milicjanci zaczęli zabierać z łóżek pierzyny i wkładać je do czekających na zewnątrz sań. Usadzili w nich najmłodsze dzieci, a starszych wypędzali na mróz, nie patrząc na to, że nie mają na sobie ciepłych ubrań. Saniami zawieziono całą rodzinę na stację kolejową w Krasnem, gdzie czekał pociąg towarowy. Prababcia jechała bydlęcym wagonem pozbawionym okien, ogrzewania, urządzeń sanitarnych i jakichkolwiek

udogodnień. W jednym wagonie umieszczono wraz z bagażami około 50 osób z różnych rodzin. Były to kobiety w ciąży, maleńkie dzieci, całe rodziny. NKWD-iści zabrali im wszystkie dokumenty, zaryglowali drzwi i pozostawili ich w potwornym mrozie. W wagonach było tak ciasno, że nie dało się swobodnie stać. Dzieci płakały, chorzy jęczeli, z każdej strony dochodziły przerażające odgłosy. Po kilkunastu godzinach postoju pociąg ruszył, a wraz z nim zaczęły się toczyć wygnańcze losy rodziny mojej prababci. Po blisko 2 miesiącach spędzonych w bydlęcym wagonie dojechali do Muraszy. Zostali ulokowani w cerkwi, w której spędzili upiorny tydzień. Dokuczały im głód, zimno i okropne robactwo, przed którym nie było ucieczki. Tydzień później podstawiono samochody ciężarowe i po przebyciu ponad 300 km z Muraszy przez bezludne pola i lasy, przemarznięci, chorzy i głodni dotarli do Syktywkaru.

Syberyjski klimat był niezwykle surowy, nie tylko z powodu niskich temperatur, ale także ze względu na bardzo słabe nasłonecznienie. Przez około dziewięć miesięcy nie było słońca, tylko nocą wielokolorowe światła łagodziły surowość syberyjskiej przyrody, nadając jej bajkowego charakteru. Ulokowano ich w baraku. Była to duża izba bez łóżek, kuchni czy pieca. Wszystko co niezbędne do życia, musieli zdobyć własnymi rękami. Mój pradziadek Józef bardzo dobrze znał język ukraiński, ponieważ na kresach wychowywał się między Ukraińcami. Z łatwością dogadał się z naczelnikiem, a ten przydzielił mu pokój z kuchnią i załatwił mu pracę. Większość zdolnych do pracy znalazło zatrudnienie w tartaku. Do pracy były zmuszane dzieci od 12 roku życia. Układały klepki lub sprzątały pomieszczenia, place i ulice. Brat prababci również pracował w tartaku. Niestety 17 maja 1941 roku zawaliło się na niego drzewo, przygniatając go śmiertelnie. Było to drugie nieszczęście, które dotknęło naszą rodzinę na Syberii. Wcześniej moja prababcia Elżbieta straciła niemowlę, które zmarło krótko po urodzeniu. Tuż przed śmiercią chłopczyk został ochrzczony. Pradziadek zbił skrzynkę z desek i pochowano go w najbliższym lesie pod sosną. Na grobie postawiono brzozy krzyż. Prababcia otoczona miłością i opieką powoli wracała do siebie. Rozpoczęła nawet pracę w tartaku przy układaniu desek. Tam poznała Łucję, która także była zesłana na Syberię i z którą się zaprzyjaźniła. Prababcia w trakcie wojny straciła również siostrę Tereskę, która miała tylko 7 lat, gdy zmarła na tyfus. Ludzie pracowali bardzo ciężko, po 12, a nawet 15 godzin dziennie.

Po pięciu latach cierpienia, bólu, głodu i chłodu, nadszedł długo oczekiwany koniec wojny. Akt kapitulacji Niemiec ogłosili alianci 8 maja 1945 roku. Następnego dnia uczynił to Związek Radziecki. Ludzie świętowali na ulicach, jedni cieszyli się ze zwycięstwa, a inni chcieli uczcić szczęśliwy powrót żołnierzy. Tymczasem rzeczywistość powojenna przyniosła głębokie rozczarowanie. Z każdym dniem przybywało inwalidów i rannych. Po 6 latach tułaczki na obcej ziemi nadeszła jednak długo oczekiwana chwila - 16 lutego 1946 r. prababcia

otrzymała zawiadomienie o wyjeździe. W ciągu 24 godzin mieli się wstawić na stacji kolejowej w Annie. Nadszedł czas na pożegnanie z ludźmi, z którymi przeżyli koszmar Syberii i mieli ich już nigdy więcej nie spotkać. Prababcia zostawiła tam swoją najlepszą przyjaciółkę Łucję, którą często wspominała. Nocą odwieziono ich na stację kolejową w Annie. Podróż do polskiej granicy odbywała się, jak poprzednio, w bydlęcych wagonach pilnowanych przez NKWD. Tym razem jednak nie było plombowania drzwi, a w drodze karmiono ich dobrymi posiłkami. Wracali do ojczyzny! Tylko to się liczyło, wszystko inne nie miało już większego znaczenia. Oddalali się od piekielnych łagrów Syktywkaru. Jednak szczęście mieszało się z bólem. Ludzie wracali zdziśnięci i wycieńczeni zarówno fizycznie jak i psychicznie, zabierając ze sobą ciężkie i potworne wspomnienia. Rodzina prababci należała do wąskiego grona szczęśliwców, którzy wracali prawie w komplecie i we względnie dobrej formie. Podróż trwała ponad 3 tygodnie. Na granicy przesiedli się do polskich wagonów osobowych i 12 marca wjechali na tzw. Ziemię Odzyskaną, przed wojną leżącą w granicach III Rzeszy. Wsiadli z pociągu w miejscowości Legnica. W mieście dominowały rosyjskie i niemieckie napisy, które powiększały poczucie wyobcowania. Początkowo zamieszkali w hotelu, aby najpierw rozejrzeć się po okolicy, a następnie spokojnie zdecydować o przyszłości. Poszukiwali miejsca, które przypominałoby ich rodzinną ziemię lwowską.

Po dwóch tygodniach natrafili na miejscowość, która spełniła ich oczekiwania. Była to wieś Kwiatkowice, położona w pięknej malowniczej dolinie utworzonej przez rzekę Kaczawę i Cichą Wodę, które w tym rejonie wpadały do Odry. Znajdowały się tu piękne liściaste lasy, soczyste łąki i bogate w ryby jeziora. W odległości 3 km leżało niewielkie miasteczko Prochowice, ze stacją kolejową i rynekciem. Rodzina prababci zajęła trzy wolne gospodarstwa, pozostałe po wysiedlonych stąd Niemcach. Jedno z nich zajęli rodzice prababci wraz z rodzeństwem, drugie prababcia wraz z pradziadkiem, a trzecie przypadło bratu prababci Władysławowi.



Ewa i Józef Augustyńscy z dziećmi i z wnukami

Życie w powojennej Polsce wcale nie było łatwe. Osadnicy z Syberii przez wiele lat stanowili izolowaną część społeczeństwa, nie wolno im było przyznawać się do swojego rodowodu, a w dowodach osobistych wpisywano im w miejscu urodzenia ZSRR, co pozostawało w sprzeczności z prawdą o ich pochodzeniu. W ścianie domu, do którego wprowadzili się babcia z dziadkiem, była ogromna dziura, powstała w wyniku jednego z wielu bombardowań. Początkowo mieszkali w jednym pokoju z kuchnią, z biegiem lat dom został rozbudowany o kilka dodatkowych pomieszczeń. W tym domu prababcia wychowała czworo dzieci: Irenę, Halinę (moją babcię), Marię i Bogumiła. Niestety, jedno dziecko (Karol) zmarło od razu po urodzeniu.



Babcia Halina, ciocia Maria i Irena, prababcia Elza i pradziadek Józef w Kwiatkowicach 19.09.1974r.

Obecnie jedynym żyjącym potomkiem prababci i pradziadka jest moja ciocia Marysia, która często opowiada mi różne historie ze swojego dzieciństwa oraz przekazuje mi historie opowiadane kiedyś przez jej mamę Elżbietę. Z rodziną Niemców, którzy mieszkali w naszym domu przed zakończeniem wojny i zostali z niego wysiedleni, nadal utrzymujemy kontakt. Przyjeżdżają do nas do Kwiatkowic co kilka lat, aby odwiedzić dom, w którym wychowywali się i mieszkali. Obecnie mieszkają w miejscowościach Plech oraz Norymberga. W zeszłym roku odwiedzili nas po raz kolejny i miałem okazję się z nimi zobaczyć już po raz drugi w moim życiu.



Prababcia Elza (pierwsza po prawej) oraz dawni mieszkańcy domu



Ja (Krystian), moi rodzice, ciocia Maria (córka Elzy) z rodziną oraz Marianna i Kate z rodzinami (mieszkanki domu prababci do 1946 r.)

Na tym historia mojej prababci Elzy o tułaczce po „drodze żelaznej” się kończy. Prababcia często wspominała tamte czasy i ludzi, aby ocalić od zapomnienia historie pełne bólu i tęsknoty za domem. Do końca swoich dni wspominała wieś Wierzblany, w której mieszkała z moim pradziadkiem i jej najbliższą rodziną. Niech ta historia służy ku przestrodze następnym pokoleniom Polaków, aby zawsze pamiętali, że bardzo łatwo popaść w niewolę i utracić ojczyznę. Znacznie dłuższa i trudniejsza jest droga powrotu.

Pisząc to opowiadanie, korzystałem z opowieści mojej cioci **Marii Wolak** z domu **Trojan** (córki Elzy) i mamy **Izabeli Balbier** z domu **Lużyńskiej** oraz z książki napisanej przez brata mojej prababci **Władysława Augustyńskiego** „Droga żelazna”.